ROMANS i POWIEŚĆ

Rok XIV. Warszawa, dnia 1 lipca 1922 roku. № 26.

Juljusz German. Powieść.

26) TWARZ Z ZA KURTYNY.

Już znikł ten wiew, zjawieniem się obcego roztrącony, lecz jeszcze czuje to dotknięcie ostatnie, rojem skier drobnych drgające...

I wstrząsnął się cały: Ostatnie?

W czerwonawym półzmroku loży jaśniała jej twarz jako pozdrowienie z oddali, już tylko jako kwiat wspomnień najdroższych, dotykalnej rzeczywistości wydartych, w powszedni dzień uśpionych..

Jak miraż obrazu skrytego na dnie tęsknoty...

Jak uśmiech, bez którego martwa jest nagość wiosenna...

Jak sen o owych krajach gdzieś za morzem, niewidzianych nigdy a strojnych we wszystkie tęcze marzenia...

A z oczu błękitnych, wgłębionych w jego oczy, jasno wyczytał:

„Choć z tamtym zostaję, a ty odchodzisz, pamiętaj, że między nami niema pożegnania".

I związanemi z sobą promieniami źrenic w mgle błyskawicznej ujrzeli to samo:

Potok wśród łun zachodu, perlisty pian fontanną opalową...

Wyszedł z loży.

Stał przez chwilę na korytarzu, rozglądając się ze zdziwieniem wokoło. Ostrym wysiłkiem woli wciągnął się w rzeczywistość. Przypomniał sobie, że jest w teatrze. Zobaczył przelotnie w lustrze odbicie swej twarzy, smokingu, pereł w gorsie koszuli. Przylgnął chciwie do tego widoku. Wracał w siebie, przyzwyczajeniem znanego. Wracał w siebie...

Zaciężyło nad mrowiskiem myśli ostrzegające dostojnie uczucie, że stało się coś niesłychanie ważnego, że zaznaczył się piorunowo punkt zwrotny, za którym bezmiary horyzontów, ogrom możliwości zmysłami nieogarniętych. I wraz tem uczuciem przygniotła go samotność człowieka, na opuszczonej wyspie patrzącego w toń oceanu.

Zawołał poryw przemożnego instynktu: wmieszać się w tłum żywych, ciepłych ludzi... jakichkolwiek ale ludzi, ludzi!

Odepchnął woźnego, wsunął się cicho na widownię, znalazł swoje krzesło na rogu. Zatętniła przy nim rozkołysana fala oddechów. W ciszę, drgającą utajonymi szmerami, spadały ze sceny giętkie, metalicznym dźwiękiem sztuczności otulone, słowa.

Zwrócił głowę ku loży, w której przed minutą czy dwiema zmagał się z tajemnicą, bijącą niezbadanem źródłem z żywego, jak on, istnienia. Tak, niezbadanem... Nie był igraszką przeczulonych nerwów, on, który miał za hasło: jaknajbardziej jasno zdawać sobie sprawę z każdego momentu swego życia i tych, które objął kręgiem zbliżeń.

Loża była już pusta... Pusta sztywnie drwiącą obojętnością martwych rzeczy.

Zdławił go sekundowy wyrzut. Czy nie powinien był po tem wszystkiem zabrać Lili, unieść choćby na rękach, odrazu, śmiało, po swojemu?

„Tego ona nie chciała"—przejmująca pewność schyliła mu czoło.

Czekał niecierpliwiwie na koniec przedstawienia, niewiele zważając na to, co działo się na scenie. Figury aktorów przesuwały się przed jego wzrokiem jak barwne wycinanki na jednostajnie gładkiem tle sceny. Trzeźwą, badawczą myśl wytężył w jednym tylko kierunku: kogo znaleźć, by spędzić z nim wieczór, do późna, do zupełnego zmęczenia... Dziś byłaby mu bardzo ciężką samotność... Jakichkolwiek ludzi...

Nareszcie szelest zasłony i tryumfalnie rozpalona światłość elektrycznych lamp.

Pośpiesznie zdążał do wyjścia. Ktoś ujął go za ramię poufale, prawie szorstko. Chciał odtrącić natręta surowo. Ujrzał napuszoną z magnacka twarz, wyblakłe, zachłanne oczy. Już nie tlił się w nich cień najlżejszy dawnej, błędnej uniżoności.

— Tak sobie przechodzi nasz Vanderbildt i nawet ze znajomymi się nie wita—rzekł mąż Meli tonem zuchwałym.

Obok, z pod bogatych kruczych splotów zaświecił źrenic i ust żar aksamitnie wilgotny.

— Zagapiłem się, przepraszam— odpowiedział Bronicz, blednąc z szybkiego przymusu, którym opanował odruch gniewu i w zwykłą uprzejmość zamienił. — Zresztą z panią miałem przyjemność rozmawiać podczas antraktu...

— Gdym poszedł wypalić cygaro.. Na mnie to pan jakoś zupełnie nie łaskaw... Ani w klubie, ani w domu...

W głosie brzmiało już otwarcie brutalne wyzwanie.

Gdy Bronicz odwracał się z chłodnem lekceważeniem, w decyzję rozjaśnioną rycerskiem oczekiwaniem niebezpieczeństwa wsunęła się myśl przenikliwa: „Przecież słusznie nienawidzi mnie ten człowiek. Skrzywdziłem ich oboje. A to nie manekiny, ludzie żywi. Zapłaciłem mu za żonę, a ją z mej drogi odrzucam niedbale. Niewolno mi okazać im wzgardy, to byłoby ohydne".

Skłonił się. Spojrzał Podolaninowi oko w oko.

— Niech mnie tłómaczą moje interesy, panie hrabio. Zapewniam pana, że nawet mowy o tem być nie może, bym pana umyślnie chciał unikać. Więc jeszcze raz przepraszam...

A stalą wzroku dopowiedział twardo: „Nie boję się ciebie. Wiesz o tem. Jeśli uważasz, że między nami wyrówna się wszystko strzałami z pistoletów, proszę, jestem gotów".

Odblask zadowolonej dumy przemknął się po tłustawem, odętem obliczu. Spełzłe oczy rozgorzały mętnie, jakby z uciechy na grę jeszcze niewypróbowaną.

— No, nie rozprawiajmy w tym ścisku..

Józef Relidzyński. Nowela.

5)

DAMA PIKOWA.

Dowcip sympatycznego amanta przyjęto aplauzem i śmiechem.

Brochwicz skorzystał z odwrócenia uwagi pijaków od zabawy, która, po za uczuciem niesmaku, przejmowała go dziwnym dreszczem, i zwrócił się do kompanów:

— Proszę was, tymczasem po kieliszku likieru, oryginalny Bols!

Niby na wroga, rzucono się na neutralnego holendra...

— Zdrowie Bolsa! — darł się Kocio.

— Zdrowie cioci-nieboszczki! — starał się przekrzyczeć go Zgnilski.

Rozległ się brzęk i hałas. To z rąk Dominika, który właśnie wchodził do salonu, wypadła taca z kilkoma butelkami szampana i kieliszkami...

— Ach ty, stary niedołęgo! — krzyknął nań Staszowski, podbiegając i zbierając butelki, które, na szczęście, nie potłukły się; natomiast z cienkich, kryształowych kieliszków pozostały szczerby.

— Jazda, durrrniu, po nowe kieliszki!—zaordynował Kocio.

Dominik stał, zda się, zmieniony w słup soli. Potem popatrzał przeciągle na portret damy pikowej...

Podniósł tacę. Wyszedł bez słowa.

Wkrótce powrócił z pięcioma kieliszkami od szampana, które Brochwicz z rąk jego odebrał. W tej chwili oczy ich się spotkały. Oczy Dominika lśniły dziwnym, metalicznym blaskiem. Oczy Stefana cofnęły się nagle w głąb; pochylił głowę, kieliszki zabrzęczały mu w rękach...

Dziwny służący znów przeniósł wzrok na portret. Oczy damy pikowej jakby mrugnęły porozumiewawczo... Raz jeszcze objął złowrogo lśniącem spojrzeniem całe towarzystwo, jakgdyby chciał je dobrze sobie zapamiętać, i zniknął w drzwiach jak widmo...

Strzeliły w górę korki. Trysnęła piana szlachetnego wina, perły winnic francuskich.

— Zdrrrowie Brrrochwicza! — wniósł toast Kocio.

— Zdrowie moich przyjaciół! — zawołał gospodarz.

— Naszych przyjaciółek! — rozległ się baryton Kotwicza.

— Brawo!... „*ex*"! „z salamandrą"! — krzyknął Staszowski, dawny bursz, z których to czasów nosił pamiątkę w postaci wielkiej szramy na policzku.

Wypili wszyscy, z wyjątkiem Zgnilskiego, który darł się jak manjak, protestując:

— Moje zdrowie! Wódą!... Wódy, psiakrew! — poczem, nie znalazłszy wódki na stole, z tragicznym gestem rozpaczy przylgnął ustami, niby do pełnej piersi, do pękatej flaszki Bolsa.

— Wiecie co — zauważył w pewnej chwili Staszowski — pijaństwo pijaństwem, ale praca pracą... Zagrajmy w pokera!

Rozległy się głosy:

— Doskonale!

— Pysznie!

— Praca wzbogaca!

— Czas to pieniądz!

Brochwicz zadzwonił na służącego:

— Proszę przynieść stolik do kart.. Czy są karty?

— Niema — rozbrzmiał głuchy, drewniany głos Dominika — w tym domu w karty nie grywano.

— Przewidziałem to — zaśmiał się Kocio — i na wszelki wypadek wziąłem karrrty ze sobą — wyjął z kieszeni nową talję kart.

— Brrrawo Kocio! — wykrzyknął Kotwicz, do złudzenia naśladując głos i ruchy arystokraty Pińskiego.

— Niemasz, jak nasz Emeszet! — dodał Staszowski.

— Co to takiego? — zdziwił się Brochwicz.

— A prawda, żeś ty nie tutejszy! Widzisz, Emeszet — pouczał go niedoszły szwagier — znaczy w naszym języku urzędowym: Ministerjum Spraw Zagranicznych.

— Cuchnie mi to trochę Bolszewją!

— Mój drrrogi Stefanie, co i kto dziś nie cuchnie! — wtrącił Kocio z gestem rezygnacji — trzeba iść z prrrądem czasu...

— Trzeba z żywymi naprzód iść! — ryknął Zgnilski.

— I nieść przed narodem kaganiec oświaty! — z patosem zadeklamował Kotwicz.

— Oświecajmy się więc! — zaproponował Staszowski, nalewając kieliszki.

Propozycja została, z rzadką w naszych stosunkach jednomyślnością, przyjęta i wykonana.

Dominik ustawiał tymczasem stolik do kart...

Gra się zaczęła.

Grających oświetlała duża lampa stojąca, osłonięta modnym abażurem z wzorzystej materji. Reszta salonu tonęła w półmroku.

Grano szeroko. Gra stawała się coraz bardziej interesująca. Emocjonujące „spotkania" sypały się, jak z rogu obfitości. Szczęście, jak lekkomyślna kobieta, przechodziło z rąk do rąk.

W przyległej jadalni wielki zegar gdański wybijał powoli północ...

Na stoliku do kart sterczał stos banknotów. Była to dotychczas największa pula. Licytowali się o nią zawzięcie Brochwicz z Kociem. Reszta graczów odpadła i, z wyjątkiem Zgnilskiego, który sennie i obojętnie patrzał przed siebie, z zapartym tchem śledziła przebieg fascynującej gry.

W pewnym momencie, kiedy Brochwicz podbił znów partnera o poważną sumę, Kocio, który zdążył już zapożyczyć się u sąsiadów na prawo i na lewo, zawahał się. Ręka, w której trzymał pięć kart, drżała mu. Przybladł, tylko na policzkach szkarłaciły się gorączkowe wypieki. Spojrzał pytająco na Kotwicza, który siedział obok niego i, dawno już odpadłszy, „kibicował" mu.

— Jabym dopłacił — szepnął aktor.

— Ja myślę... — odezwał się nagle futurysta, bynajmniej zresztą nie wiedząc o co chodzi i w dalszym ciągu wlepiając błędnie oczy w przestrzeń.

— Dopłacam — zachrypiał tenorek Kocia — mam kolorrr — i hr. Piński niespokojnym, gorączkowym wzrokiem zawisł na ustach przeciwnika.

— Cztery damy! — z trjumfem wyrzucił ze siebie Brochwicz, wykładając karty.

— Powieś się... — z wściekłością mruknął Kocio, ciskając swoje karty na stół.

— Na szyi piątej! — dowcipnie wtrącił Kotwicz, którego specjalnością było łagodzenie naprężonych sytuacyj.

— Hola, panowie! — rozległ się nagle w uroczystej ciszy ochrypły głosik Kocia, przyglądającego się kartom Brochwicza — ja widzę tylko trzy damy...

W istocie, na stole przed tym ostatnim leżały trzy damy: treflowa, kierowa i karowa, pozatem jakaś młódka.

Zrobił się nastrój nieprzyjemny. Brochwicz pobladł. Usta Kocia wykrzywił blady, specyficzny uśmieszek.

— Co u djabła?! — wykrzyknął

— Gdyby państwo raczyli przyjąć moje towarzystwo...

— Pan pójdzie do nas — rzucił Podolanin krótko.—Jest tam w domu co do wypicia, Mela?

— Zdaje mi się, że aż nadto. Ale napierasz na pana Bronicza tak obcesowo...

— Zaproszenie nie jest pozbawione pewnej oryginalności. Ale służę najchętniej.

Podawał jej futro w garderobie. Zapach jej ciała przyniósł mu wieść o pocałunkach woniejących jak jagody w borze, w naiwnem ofiarowaniu roślinnie bezgrzesznych, o płaczu za szczerością namiętnym, o zmierzchowym smętku, co nad stawem za wsią się zawleka.

Wsiedli do dorożki. Jechali w milczeniu przez ciemnawe ulice, stróżujące skalnie nad otchłanią wielkomiejskiej nocy. Strzępy nagłych świateł wyskakiwały ku nim jak ognie z trzęsawiska. Poszarpany sznur tłumu wlókł się leniwym, wężowym skrętem.

— Widziałam pana w loży Lili Dowgird. Mizerna a zawsze przecudna. Gdy na nią patrzę... szkoda, że tak rzadko... chciałabym przyjść do niej i dziękować, sama nie wiem, za co... Bo to nic, że najładniejsza z wszystkich warszawskich artystek. Lecz ten uśmiech dziecinnie łagodny a zarazem tak odważny, że przypomina się myt o amazonkach.. podobnego u żadnej jeszcze kobiety nie spotkałam... Lecz to rzewne i dumne zadumanie żywego posągu... Naprawdę, można powiedzieć, że nosi swe piękno jak strój królewnej...

— Nosi swe piękno—powtórzył Bronicz powoli. — Piękno osobno... i ona... Więc i pani dostrzegła?...

— Co? — przechyliła ku niemu głowę, dotknęła bujnem ramieniem. — Jaki dziwny wyraz w pańskim głosie...

— Że podziwiana z urody aktorka, czarująca kobieta... to jeszcze nie ona cała...

Senny błysk zachwycenia zamigotał we wilgotnych, sarnich źrenicach.

— Zdaje mi się, moja droga, że to niebardzo taktownie i zręcznie, chwalić przed panem Broniczem ową teatralną gwiazdę — wtrącił Podolanin zgrzytliwie. — Cały świat wie, że wyszła za mąż za przystojnego oficerka, na dawną adorację miljardera nieczuła. Czyżbyś o tem zapomniała?

I cofnął zaraz wyblakłe spojrzenie, nie wytrzymawszy wzroku Bronicza, który wzruszył lekko ramionami i rzekł z wyszukaną grzecznością:

— A Lili mówiła mi dużo o pani z najszczerszą sympatją...

— Jakto? Nie zna mnie przecież, nie zauważyła chyba nigdy...

Gumowe koła skrzypnęły. Urwał się głuchy odgłos podków uderzających o bruk. Powóz stanął. Szli po schodach. Gdy Henryk otwierał drzwi mieszkania, Bronicz powiedział cicho do Meli:

— Tak jest. Nie zna tej, tu przy mnie stojącej. I odemnie nie usłyszała o pani ani słowa. Ale widziała nasze pierwsze zetknięcie się w Bristolu, przed miesiącami. Dziś to zobaczyła. I tęsknotę, która wieje z pani oczu, widziała także. Mówię najbardziej poważnie, choć sam tego nie rozumiem...

— Najdroższa moja—zerwał się z jej ust szept śpiewny — To są sploty prawdziwe.

I weselne rozradowanie umaiło jej lica.

W pokojach światło za światłem zapalało się gościnnie.

Podolanin wskazał Broniczowi fotel, usiadł naprzeciw niego. Zostali sami.

— Dawno nie oglądałem Meli tak ucieszonej — syknął drwiąco.— Rozaniela się poprostu, że pan nareszcie nas zaszczycił.

— Niech mi pan wierzy, że z pewnością inny ma powód do radości.

— Podziwiam dokładność pańskich informacji w tym względzie.— Zmrużył powieki.—Ale, ale... różne rzeczy między nami do wyrównania. Ten czek wtedy w klubie... Do tej pory jestem dłużnikiem. A interesy pańskie, jak mówią, nieszczególnie się teraz układają.—Roześmiał się urągliwie. — Ciekawe to będzie, czy pańskie powodzenie utrzyma się... bez pieniędzy. Tak wogóle i wobec kobiet.

— Przed pięciu laty nie miałem ani grosza. Jakoś to pójść musi. A tym czekiem służyłem panu przy kartach, więc rozegramy go kiedyś.

Henryk skrzywił się szyderczo.

— Namyślę się. Niech mi pan powie — rzekł po chwili — czemu to tak jest: nienawidzi się kogoś z całej duszy, życzy mu się wszystkiego najgorszego, więcej niż śmierci, choroby, niedołęstwa, upokorzeń... a coś ciągnie nieodparcie, żeby patrzeć na niego, szukać jego obecności...

— To jest chęć czytania jaśniej w sobie i nim... przez ten mrok nienawiści.

Weszła Mela. Cienie czające się wśród mebli i na obiciach ścian ujęły przejrzystszą ramą biel jej odkrytej szyi, łabędzio pyszną, i kameljową gładkość jej lic. Za nią ukazała się przygarbiona, lecz szeroko rozrosła, służąca z miną szafarki, znającej dobrodusznie wszystkie tajemnice wiejskiego dworu, niosąc wielką tacę, pełną zakąsek i różnokolorowych flaszek.

Podolanin pił kieliszek za kieliszkiem, dolewając z początku Broniczowi, później nie troszcząc się już o niego zupełnie.

Rozmowa, towarzysko obojętna, strzępiła się ciężko, coraz urywana duszącą ciszą.

Sinawa czerwoność występowała powoli na twarz Kresowca. W spłowiałej mgle źrenic budziły się turkusowe połyski.

— Jak pan to powiedział—rzekł nagle—jaśniej czytać... To się panu udało. Wie pan, gdy się tak człowiek zastanowi... Rodzina moja od wieków na wsi osiadła. Czy pan nie uważa, że i ja i moja żona mamy trochę chłopską naturę. Tylko nie tych poczciwych mazowieckich kmiotków. Tam, gdzie mój dwór, to już Dzikie Pola. Tam życie ludzkie jak burzany na stepie... bezpańskie. No, a w ostatnich latach... rozigrał się taniec czerwony. Tam kobiety są białe, jak żelazo, w ogniu rozpalone, a usta mają jakby krwią ze świeżych ran malowane...

— Nie wygaduj dziwaczności, Henryku, i nie pij tyle, proszę.

— Ty, cicho bądź. Ty cicho. Sama nie wiesz, ile ci przebaczam, żeś szczera. Za tę prostotę twoją, za tę smętnicę stamtąd...

— Co ty mówisz? — jęknęła. Oparła dłonie na poręczy krzesła, oderwała je zaraz, krzyżując bojaźliwie na stromych piersiach.

— Nie bój się. Ty się mnie nie bój. Nie podniosłem na ciebie nigdy ręki i nie podniosę. Tyś pełnej rasy... nie jak te wszystkie, chuderlawe, bezsilne marzące, z limfą w żyłach, a w rozkoszy chytre jak żydówki. Ty rwiesz się z uwięzi... A jak ci wicher nową pieśnią zagra, chcesz już w nią wtopić się cała, nic nie zostawić ostrożnie. Myślisz, że nie wiem wszystkiego? Żem ci nie powiedział wyraźnie? Czego nie widzę sam, to mi ktoś mówi. Każdy dobry szlachcic ma swego domowego djabła. Mój za mną przyjechał. A sprytna bestja...

Wyrwała mu kielich. Gniewny wstyd pręgą rumieńców uderzył w jej policzki.

Dalszy ciąg nastąpi.

Staszowski, pochylony nad kartami Brochwicza — masz tylko cztery karty.

— Ależ przed chwilą miałem najwyraźniej pięć, w tem damę pikową — tłómaczył się Brochwicz, zmieszany.

— Jestem tego świadkiem — przytaknął Staszowski, „fiksując" Kocia — patrzałem w jego karty.

— Gdzież więc się podziała? — wycedził posiadacz „koloru".

— Może spadła pod stół — łagodził Kotwicz, który, jako delikatny amant, bardzo nie lubił wszelkich awantur, zwłaszcza... przy kartach.

Powstało zamieszanie. Gracze podnieśli się, oprócz Zgnilskiego, który, nie przejmując się sporem o damę pikową, obojętnie, jak bonza, obserwował koniec własnego nosa, nieprzyjemnie zezując.

Unoszono dywan; szukano pod stołem i na stole, na krzesłach.

Z karty nie było śladu...

Zasiedli panowie.

— Przeliczmy karty — zaproponował Kotwicz.

Przeliczono. Kart było 31...

Rozsegrowano je na kolory. Brakło damy pikowej...

— Grrramy wogóle bez damy pikowej!—zjadliwie zauważył Kocio, ciągle z tym samym wymownym uśmieszkiem.

— Niemożliwe — zaprzeczył Brochwicz — nowa talja! Sam ją przyniosłeś.

— Psiakrew! — Staszowski huknął pięścią w stół, podrażniony irytującym uśmieszkiem Kocia i jego zjadliwie słodziutkim głosikiem, co był jak ocukrzony sztylet, pakowany w gardło—sam ją nie dawno miałem! I pan ją miałeś, przypominam sobie!

— I ja miałem — potwierdził Kotwicz, ciągnąc Kocia za rękaw.

— A ja nie miałem! — wtrącił demonicznie, milczący, Zgnilski.

— Niczego nie kwestjonuję, stwierrrdzam tylko, że damy pikowej niema—odpowiedział sucho Kocio, skwapliwie kładąc rękę na błogosławionej puli—według więc zasad, przyjętych w klubach, wygrrrana należy do mnie!

— Dawajcie damę pikową! — wydarł się histerycznie Zgnilski, jakby go obdzierano ze skóry. — Gdzie jest dama pikowa?

— Jessst...—niby w odpowiedzi, zasyczał nagle upiorny szept, wychodzący z ciemnego rogu salonu...

Pięć par oczu odruchowo skierowało się w tę stronę...

Z piersi Brochwicza wydarł się głuchy, zdławiony krzyk.

Staszowski otworzył szeroko usta i tak zamarł.

Z oka Kocia wypadł monokl, tłukąc się na drobniutkie szkiełka.

Kotwicz schował głowę pod stół, niby ptak — pod skrzydła.

Zgnilski przeciągle zagwizdał...

Stała przed nimi, w oddaleniu kilku kroków, dama pikowa — ta z portretu...

Figura jej była trochę przymglona, twarz nieco zamazana, ale oczy... oczy błyszczały jak żywe, gorzej — jakiemś piekielnem, fosforycznem światłem, przenikliwem i przenikającem, mrożącem krew w żyłach...

W przeraźliwej ciszy dzwonił tylko antyczny zegar na kominku...

Pięć par oczu przebiegło w stronę portretu, lecz czemprędzej się cofnęło.

Portretu nie było. Wisiały próżne ramy...

Siedzieli, jak sparaliżowani, przygarbieni, ze zwieszonemi głowami, bez słowa i bez ruchu...

Wionął ku nim zimny powiew, jakby ktoś okno otworzył na ulicę...

Nagle stała się rzecz okropna...

Widmo ruszyło z miejsca. Sunęło ku nim... Kroków nie było słychać, natomiast czuli coraz bliżej na czołach, na skroniach, na rękach straszliwy wiew. Upiora otaczała jeszcze lekka mgła, ale był już całkiem konkretny, namacalny; rysy twarzy jego wyraźnie się uwidoczniały, a oczy — poprzednio o blasku nikłym jeszcze, niby blask świętojańskich robaczków — teraz wprost ziały zielonkawemi błyskawicami..

Widmo podeszło do stolika...

Rozległ się przeraźliwy, histeryczny, obłąkany śmiech Zgnilskiego.

Niewiadomo, co było straszniejsze? —

Ten wiew, czy ten śmiech? To widmo, czy ten szaleniec?

Jedno i drugie splotło się ze sobą i narzuciło na głowy obecnych lodowaty całun niemej, śmiertelnej grozy...

Wreszcie szaleniec zachłysnął się śmiechem i umilkł. Szeroko rozwartemi oczyma i z błędnym uśmiechem patrzał na zbliżające się widmo — on jeden, który mógł już patrzeć na nie bez zmrużenia powiek...

W lodowatej, martwej ciszy, z dogasającego ognia na kominku, czasem tylko strzeliła iskra i osunęło się zwęglone polano.

W lodowatym, martwym bezruchu pracowały tylko ciężko zdyszane piersi ludzkie.

W ciszy i bezruchu lodowato wiała śmierć...

Wtem Kocio już nie krzyknął, ale ryknął.

Widmo usiadło przy nim, na wolnem krześle, naprzeciw Brochwicza. Zachrzęściał wyraźnie jedwab sukni, zgrzytnęło krzesło, poruszył się stolik.

I ten wiew...

Kocio spróbował się wyrwać ze straszliwego koła, ale natychmiast opadł na krzesło, jakby niewidzialna siła osadziła go z powrotem. Odsunął się tylko jaknajdalej od upiornej sąsiadki i, przytuliwszy się do siedzącego z drugiej strony Kotwicza, trzymał się go, miotany konwulsyjnemi drgawkami. Kotwicz chwycił spazmatycznie za ramię Staszowskiego, jakby szukając ratunku w mundurze. Rotmistrz jednak ani się ruszył i, z rękami w kieszeniach, z brodą w rozchylonym kołnierzu frencza, zastygł. Drzemał, czy zemdlał—niewiadomo. Zgnilski, rozchyliwszy usta, obojętnie już łapał przed sobą niewidzialne muszki, z idjotycznym wyrazem zielonkawej twarzy wlepiając wyblakłe oczy gdzieś w próżnię.

Brochwicz, siedział blady śmiertelnie, z rozszerzonemi źrenicami i zjeżonemi włosami, które oblepiał zimny pot, ściekający mu na czoło. Kurczowo wpijając się w zielone sukno stolika paznogciami, które pękały i łamały się, patrzał na widmo. Nie mógł oderwać wzroku od straszliwego *vis à vis*, przykuty do zielonkawych, nieruchomych oczu, hypnotyzujących jak spojrzenie węża. Oczy te obecnie, w świetle przysłoniętej lampy, już nie fosforyzowały, natomiast — ziały jakąś przeraźliwą głębią, która ciągnęła jak moczar i w której coś migało, niby błędne ogniki.

Wreszcie przemógł się i z jego sztywnego, jakby sparaliżowanego gardła wydobyło się głuche pytanie:

— Czego chcesz tutaj?

Widmo w odpowiedzi łysnęło uśmiechem, jakim uśmiechać się musi do swej, znieruchomiałej w grozie, ofiary boa-dusiciel. Potem zebrało karty i poczęło je spokojnie tasować. Rozdało każdemu z graczów po pięć kart.

Brochwicz wziął machinalnie do ręki pierwszą kartę.

Była to dama pikowa..,

Spojrzał naprzeciw. Widmo znikło...

Rzucił okiem na portret. Wisiał w porządku. Z ciężkich, złoconych ram uśmiechała się dama pikowa...

W przeraźliwej ciszy dzwonił tylko antyczny zegar na kominku...

Dalszy ciąg nastąpi.

Klaudyusz Anet. Powieść.

ROZKIEŁZNANE MOCE.

20) Przekład z francuskiego przez H. J. P.

Sawinski zabrnął w ponurych rozmyślaniach, podczas gdy panienki paplały w dalszym ciągu z ożywieniem. Raz po raz spoglądał na Lydję. Nigdy nie wydała mu się tak ładną. Zdawała się być ulepioną z jakiejś odmiennej gliny niż inne kobiety. Jej przyjaciółka, Helena bardzo przecież milutka, wyglądała przy niej jak pokojówka. Lydja miała sposób otwierania swych wielkich oczu i patrzenia niemi na interlokutora z taką szczerością, że miało się wrażenie możliwości przeniknięcia do głębi jej duszy. Czy podobieństwem było wyobrazić sobie doskonalsze ciało i bardziej nieskazitelną czystość?

Sawinski chciał się doczekać odejścia Heleny, aby mieć Lydję wyłącznie dla siebie. Ale gdy Helena wstała z zamiarem pożegnania się, Lydja zatrzymała ją koniecznie na obiad. Helena wahała się, obawiając wracać sama do domu, lecz Lydja dorzuciła, że przecież będzie mogła zanocować w pałacu Wołyńskich, jak to już zresztą często miało miejsce.

Nie mogąc dłużej wytrzymać, Sawinski wstał i pożegnał obie przyjaciółki. Lydja towarzyszyła mu do przedpokoju. Zdawała się nie spostrzegać ponurego usposobienia swego przyjaciela. W chwili rozstania rzekła:

— Wie pan prawdziwą nowinę, Mikołaju Władymirowiczu? Lord Douglas oświadczył mi się. Powiada, że to będzie doskonale, że przy nim będę zupełnie bezpieczną i że w styczniu zawiezie mnie do Anglji z ambasadorem, który wraca do Londynu. W taki sposób wziął się do rzeczy. Nieprawdaż, że to czysto po angielsku?

Sawinski uczuł, że blednie. Zapanował jednak nad sobą. Spojrzał Lydji prosto w oczy. Uśmiechała się; ale wydało mu się, że jej dolna warga lekko nabrzmiała była nieco ściągnięta. Nastąpiła chwila milczenia.

Poczem Sawinski rzekł głosem zupełnie naturalnym:

— To byłoby istotnie rozwiązanie sprawy, Lydjo Siergiejewno. Żegnam panią.

* * *

W świetle tej sceny Sawinski ujrzał nagle stan swojej duszy.

— Zapoznałem moje uczucia dla Lydji — pomyślał. — Zdawało mi się, że żywię dla niej głęboką przyjaźń. Widziałem w niej dziecko. Omyłka! Złudzenie! To nie jest przyjaźń, ale miłość. Nie dziecko w niej widzę, ale dzieweczkę, która jutro może się stać kobietą.

Strofka popularnej piosenki przypomniała mu się nagle:

Trawa została zdeptana,
Ale nie przez ciebie,
A ja się stałam kobietą,
Ale nie przez ciebie.

— To przecież jasne — mówił sobie dalej. — Dlaczegoż zostałem w Piotrogrodzie, gdy wszystko nakazywało mi uciekać? Dla niej. Dlaczego nie jeżdżę prawie do Finlandji? Dla niej. Skąd ten smutek, który mi ściskał duszę tam pośród swoich? Bo czułem się jakby oddzielony od nich, z powodu jej. Przywiązałem się do niej; to jest właściwe określenie tutaj. Jest mi droższą niż wszystko. Napełnia sobą moje życie. To wspaniałe, to nie do pojęcia. Czyż byłbym się czuł zdolnym do tak głębokiego uczucia? Stałem się rodzajem poczciwego, domowego niedźwiedzia; byłbym skończył dni moje w spokojnej półdrzemce. I oto spotykam ją! A potem te czasy zamętu, w których nikt nie wie jak żyje. I wszystko jest w zawieszeniu! Nie umarłem, dzięki Bogu! Ach! jak ja pragnę żyć!

Podniecony do najwyższego stopnia tem odkryciem Sawinski chodził po gabinecie. Cały dzień musiał zajmować się postronnemi sprawami, i umysł jego nie mógł się skupić na tej jednej, która dla niego była najważniejszą i najdroższą. Ale mózg jego pracował tajemnie, i teraz, gdy wreszcie znalazł się sam, ogarnął w mgnieniu oka całokształt swych uczuć.

Rozwiązanie tej zagadki tak go zdziwiło i zachwyciło, że na razie nie myślał o niczem innem. On, Mikołaj Władymirowicz, który od piętnastu lat z okładem zamknął się w ciasnem, rodzinnem kole, i znalazł w niem wszystkie rozkosze i całe szczęście jakie mu ziemia dać mogła, teraz w czterdziestym piątym roku rozkochał sie w ośmnastoletniej dzieweczce.

Przejrzał się w lustrze. Wiek, co prawda, nie zaciężył jeszcze na nim. Kilka zmarszczek, trochę siwych włosów, ale twarz pozostała świeża, spojrzenie żywe, a postać silna i rzeźka. Pomimo to powiedział sobie:

— Kocham Lydję, ale ona, ona mnie nie kocha. Ma dla mnie przyjaźń, dużo przyjaźni. Przywiązała się do mnie, nic więcej. To jasne.

Rzecz szczególna; ta myśl nie sprawiła mu żadnej przykrości. To był fakt niezaprzeczalny, nie podlegający żadnym omówieniom. Wspaniałem i zdumiewającem w tem wszystkiem było to uczucie, które się w nim, Sawinskim, zrodziło. Tak. Ale lord Douglas? Czy on mu zabierze Lydję?

Ta myśl natychmiast wydała mu się czemś nie do zniesienia. Godził się na to, że będzie kochał Lydję bez wzajemności; ale nie mógł ścierpieć, żeby kochała innego i żeby opuściła Piotrogród. Obecność jej była mu nieodbicie potrzebną. Bez niej był zerem; bez niej życie stawało się pustem i czczem; zmiażdżyłaby go niewysłowiona, bezgraniczna nuda.

Postać młodego lorda przemknęła mu przed oczami. Pięknym był jak młody bóg; żadna kobieta nie mogła mu się oprzeć. Ale Lydja?.. Ona nie była podobna do innych. Miała duszę rosyjską; nie rozkochałaby się w tym albiońskim Antinousie. A ojciec? Czyżby go opuściła? Niepodobieństwo... Ale gdyby książę Wołyński umarł?... Czy instynkt samozachowawczy nie stałby się wtedy potężniejszym? Czy nie zgodziłaby się żyć bezpiecznie i wygodnie w Anglji?

Sawinski spędził wieczór na roztrząsaniu tych sprzecznych myśli. Ale, w głębi jego ja, nic nie dorównywało upojeniu odkrycia, jakie uczynił: Kochał Lydję Siergiejewnę. To był dar nieba. Życie jego nabrało nowego blasku.

* * *

Naprężony stan nerwów Sawinskiego odbił się nazajutrz na rozmowie z Simeonowem w Banku Północnym. Kostyczna, zimna krew młodego działacza bolszewickiego rozdrażniła go. Odpowiadał mu ostrzej niż sam chciał.

Simeonow stawiał rewolucję poza obrębem wszelkiej dyskusji.

— To fakt — mówił — umysł rozsądny nie ma innej drogi wyjścia jak schylić czoło przed faktem i wyprowadzić stąd odpowiednie wnioski. Nie od pana zależy abyśmy byli, albo nie byli w pełni rewolucji. To uznawszy, co pan zrobisz?

— Ale ten wasz fakt — zarzucił Sawinski — jak on długo potrwa? Jesteście przy władzy dwa miesiące. Jak długo jeszcze pozostaniecie? Wypadki szybko u nas postępują. Kiereński, który był najpopularniejszym człowiekiem w Rosji nie wytrzymał w tej zawierusze dłużej nad pół roku. Któż mi zaręczy, że za kilka tygodni Lenin i Trocki nie uciekną lub... nie będą wisieć?

Zaledwie wymówił to ostatnie słowo, już byłby je chciał cofnąć.

Simeonow uśmiechnął się swemi suchemi wargami, rozłożył ręce właściwym mu ruchem i patrząc prosto w oczy swemu interlokutorowi, rzekł twardo:

— Na tym punkcie masz pan słuszność, Mikołaju Władymirowiczu. Życie ludzkie nie kosztuje dziś drogo w Rosji. O tem trzeba pamiętać.

I rzuciwszy tę ulotną myśl, umilkł, jakgdyby chcąc dać jej czas, aby dosięgnęła celu.

Poczem przemówił swobodniejszym tonem:

— Jeżeli pan znasz nasz kraj, musisz rozumieć, że on jest z nami i z nami pozostanie długo, my bowiem przynosimy temu nadzwyczajnemu człowiekowi, jakim jest Rosjanin, i który dla cudzoziemca zawsze będzie niepojętym, przynosimy mu dwie rzeczy, które najbardziej kocha na świecie. Rosjanin lubuje się w absolutyzmie; źle się wyrażam; on za nim przepada. I miłuje zmianę; tu znowu jestem poniżej prawdy. On miłuje przewrót; przewartościowanie wszystkich wartości. My mu ofiarowujemy te dwa bożyszcza. To też nie pozostanie nic z dawnego społeczeństwa; zastąpimy je nowym zupełnie ustrojem, który jeszcze dotąd nie był wprowadzony w życie, i z którego on pierwszy skorzysta: komunizm. Jaka to duma dla wielkiego narodu pomyśleć, że narzuca światu nowy ideał! Z tym zaprowadzisz pan daleko naszego ruskiego brata. W imię tego zniesie on tysiące braków. I Bogu wiadomo, czy wystawimy jego cierpliwość na próbę — dodał Simeonow z lodowatym uśmiechem. — Rosjanin zdumieje świat, pokazując mu, że potrafi żyć niczem, ale dla idei. Jesteśmy narodem religijnym, Mikołaju Władymirowiczu. Ale dawne formy religijne są pozbawione wszelkiej treści. Rozpadają się w proch. My głosimy nową Ewangelję ludzkości.

Mówił jeszcze długo w ten sposób. Sawinski słuchał go niecierpliwie. Jak wszyscy Rosjanie lubił rozprawy ideologiczne. Ale wywody Simeonowa podrażniły go i wydały mu się nie na miejscu. Zagłębiać się w polityczną i społeczną metafizykę jest przyjemnem zajęciem po obiedzie, gdy się niema nic innego do roboty; ale tu, w tym gabinecie bankowym, skąd kierował ważnemi interesami, Sawinski przyzwyczajony był do konkretniejszych rozmów.

Wtem, nagłym przeskokiem Simeonow zwrócił się do spraw praktycznych. Chodziło o zorganizowanie Banku Ludowego, który wchłonąłby w siebie wszystkie banki prywatne, zagarnięte przez rząd i Simeonow chciał w tym względzie zasięgnąć rady tak wybitnego finansisty jak Sawinski.

Ale ten wzruszył ramionami.

— Co mi pan opowiadasz? — rzekł. — Czy pan sądzisz, że banki żyją pieniędzmi? Bynajmniej. Żyją kredytem. Bez kredytu żaden bank nie potrafi utrzymać swych okienek otwartych bodaj przez jeden dzień. A jakiż jest kredyt rządu, w którego skład pan wchodzisz? Żaden. Zagarnęliście depozyty. Po takim początku któż wam przyniesie pieniędzy? Nikt. Żebyście niewiem jak odwoływali się do ogółu i dawali jak najformalniejsze poręczenia, nikt wam nie powierzy swoich kapitałów. Drukujecie dwieście miljonów rubli dziennie... Wiedzcie, że nie zobaczycie ani jednego z tych papierków, które puszczacie w obieg. Jesteście skazani na bankructwo... Chciałeś pan usłyszeć moje zdanie. Oto jest jasne i zwięzłe. Nie znajdziesz pan ani jednego człowieka, znającego się na interesach, który by przemawiał do was innym językiem. Jeżeli chcecie naszego współpracownictwa, porzućcie komunizm, którego finansów nikt na świecie ustalić nie zdoła.

Simeonow zastanowił się chwilę.

— Należysz pan do starej szkoły, Mikołaju Władymirowiczu. Jesteś niewolnikiem formułek, w jakich cię wychowano. Czy podobna, abyś pan nie potrafił przystosować się do nowych form społeczeństwa? To byłoby pożądanem, wierzaj mi pan. To stanie się nawet koniecznem. Nie tracę nadziei, że pan będziesz pracował z nami.

Banalności Simeonowa były Sawinskiemu wstrętne. Byłby je stolerował komuś innemu; ale w ustach człowieka takiego charakteru i takiej inteligencji były nie do wybaczenia. Zresztą w każdej rozmowie jaką prowadził z komisarzem bolszewickim, ten urządzał się tak, aby mniej lub więcej dobitnie zaznaczać mu, że oni byli panami, że nie cofną się przed niczem, i że ostatecznie, jeżeli się chciało ratować swoją skórę należało być z nimi w dobrych stosunkach.

Te przesłanki, aczkolwiek przybrane w dyskretne obsłonki były nie do zniesienia. Było to jedną z najcięższych dolegliwości tych zawichrzonych czasów, czuć, że się trzeba uginać pod groźbą terorystycznych dyktatorów i Sawinski nigdy goręcej nie życzył powodzenia Spaskiemu, jak kiedy znajdował się w obecności Simeonowa.

Ten wstał, strzepnął palcami, przeszedł się parę razy po gabinecie, wyjrzał przez okno na Newski i, chodząc, rzucił niedbale:

— Zaaresztujemy ambasadora angielskiego.

Sawinski aż podskoczył.

— Oszaleliście! — wykrzyknął bez zastanowienia.

Simeonow utkwił w nim chłodne spojrzenie i rzekł tonem urzędowym:

— Rząd Sowietów nie może pozwolić, aby go znieważał rząd angielski, który trzyma pod kluczem takich ludzi jak Cziczerin i Petrow.

Tym razem Sawinski miał już dosyć i rzekł z kolei bardzo grzecznie i sucho:

— Jeżeli nie mamy tutaj stosunków osobistych nie widzę celu naszego widywania się.

Nastąpiła wymiana kilku nic nie znaczących zdań, poczem Simeonow pożegnał się.

— Zobaczymy się — rzekł zagadkowo. — Jeżeli panu będę potrzebny, nie zawahaj się proszę, z zatelefonowaniem do mnie.

Po wyjściu Simeonowa Sawinski ochłódł. Rozmyślał chwilę nad wiadomością udzieloną mu przez podkomisarza do Spraw Zagranicznych. Nagle twarz mu się wypogodziła i uśmiech zaigrał na ustach:

— To szantaż — pomyślał. — Jeżeli Trocki miał zamiar zaaresztować ambasadora angielskiego nie zalecałby Siemeonowi, by mi o tem powiedział. Ale ponieważ to są szczwane lisy, znaleźli ten dowcipny sposób podziałania na ambasadora Wielkiej Brytanji, bo są przekonani, że nieomieszkam powiadomić go o naszej rozmowie.

Pomyślał jeszcze chwilę.

— W istocie; trzeba będzie iść mu powiedzieć więc wyrachowali trafnie. Niemniej szantaż jest widoczny, bo im się ani śni aresztować mego szanownego przyjaciela.

Dalszy ciąg nastąpi